

Zarembiście!

Przekonanie, iż teatr "tradycyjny" nie ma w Polsce wysokiej pozycji, ponieważ był sekowany przez poprzednią władzę, jest tylko samopocieszającą iluzją - pisze Dariusz Kosiński w felietonie dla e-teatru.



zdj. Magda Hueckel/mat. teatru

W piątek 15 stycznia na głównej stronie e-teatru jako najważniejszy materiał opublikowano rozbudowany donos Piotra Zaremby "Teatr hochsztaplerów". Kilka osób takie wyróżnienie mocno zirytowało, ale ja jestem Redaktorkom portalu bardzo wdzięczny. Pismo, w którym rzecz ukazała się drukiem, tak skutecznie odstrasza mnie agresywną głupotą swoich

okładek, że na pewno bym Zaremby nie przeczytał. Wdzięczny jestem tym bardziej, że zastanawiałem się właśnie, o czym by tu napisać kolejny felieton, a "Teatr hochsztaplerów" dostarczył mi inspiracji i materiałów nie na jeden, ale co najmniej na kilka.

Nie wiem, czy moją wdzięczność podzielą Koleżanki i Koledzy o poglądach bardziej konserwatywnych, bo poparcie ze strony publicysty "wSieci" to może być dla nich "pocałunek Almanzora". Oficjalnie przecież teatralni konserwatyści głoszą hasło wielości i różnorodności kultury, czemu służyć ma wsparcie rzekomo wcześniej sekowanych, niszczonech, pomijanych i lekceważonych form bliższych tradycji teatru dramatycznego, pojmującego swoją rolę jako twórczą służbę wobec tekstu. Tymczasem Zaremba kompromituje tę rzekomą otwartość. Owszem, w wyróżnionym na e-teatrze fragmencie zastrzega się, że nie będzie "twierdził, że istnieje jeden dopuszczalny model teatru", ale w jego wykonaniu stwierdzenie istniejącej wielości szybko wiedzie do nawoływania, by tę wielość czym prędzej i to środkami państwa zlikwidować i by zaistniał jeden model teatru -

taki, jaki ceni i jest w stanie zrozumieć Zaremba. Orwellowska prostota jego tekstu ułożonego według zasady: "co lubię i rozumiem, jest dobre, czego nie - jest złe" wydaje mi się w swojej pysze jakoś uczciwa. Zamiast opowieści o konieczności zachowania równowagi w kulturze, zamiast subtelnych dywagacji o prawicowej wrażliwości wyrastającej z szacunku dla tradycji dostajemy prostą i jasną wykładnię: trwać może teatr literacki, nie zmieniający tekstu - teatr tekst zmieniający powinien zostać zlikwidowany, zapewne na mocy specjalnej ustawy teatralnej. Lektura rozdawanych przez Zarembę cenzurek: "Axer i Dejmek - piątka, Klata z Ostaszewską - pała! pała! Wy, Englert uważajcie, bo jeszcze jeden taki numer i też pała będzie!" - byłaby nawet zabawna (polecam fragment, w którym publicysta łaskawie rozgrzesza Swinarskiego), gdyby nie to, że jej konkluzją jest namawianie do zlikwidowania żywotnego nurtu polskiego teatru.

Ponieważ najwyraźniej trzeba prosto, to zadam proste pytanie: dlaczego gust Zaremby ma być wyznacznikiem tego, co ma istnieć w przestrzeni kultury, a mój gust nie? Tak się składa, że o Narodowym Starym Teatrze Jana Klata, będącym głównym celem ataku, mam zupełnie inne zdanie, w czym zresztą różnię się też od moich bardziej lewicowych kolegów. Uważam bowiem, że mimo wszystkich przeszkód, intryg, pomyłek i sytuacji bez dobrego wyjścia, mimo jawnej wrogości o rzadkiej skali dyrektor Klata stworzył jedną z najciekawszych polskich scen, teatr, który na różne sposoby prowadzi z publicznością rozmowę nie polegającą na potakiwaniu i śpiewaniu w kółko tych samych ulubionych piosenek, ale na stawianiu wyzwań i ważnych pytań. W przeciwieństwie do Piotra Zaremby i przywoływanego jako autorytet Jana Rokity (z "Płatonowa" niestety nie wyszedł - przeszkadzał mi gadając przez cały pierwszy akt) chcę i lubię być w teatrze zaskakiwany, wybijany z własnych przekonań i stereotypów, konfrontowany z własnymi fantazmatami a nawet prowokowany. Mam też najwyraźniej inny gust estetyczny, inne przyzwyczajenia, inną tolerancję co do kwestii obyczajowych niż Piotra Zaremba. Zapewne jest wielu widzów, którzy mu przyklasną, ale sądzę, a nawet mam dowody, że jest też całkiem sporo osób, które zgodzą się ze mną, gdy twierdzę, że Jan Klata powinien w Krakowie pozostać, bo Narodowy Stary Teatr pod jego dyrekcją to po prostu żywa, ciekawa i warta wsparcia scena publiczna. Na "Wroga ludu", który tak zbulwersował duet Zaremba i Rokita, nie można kupić biletów, a nabita sala kończy spektakl owacjami na stojąco. Tak samo dzieje się na "Wszystko powiem Bogu" [na zdjęciu] Demirskiego i Strzępki, który dla wielu widzów był przeżyciem niezwykle głębokim,

po które wracają oglądając spektakl ponownie. Według jakich kategorii uznać można, że ich gust, emocje, aplauz są mniej ważne i wartościowe od kulturalnej przyjemności Piotra Zaremby? Dlaczego publiczne pieniądze, czyli pieniądze pochodzące także z moich podatków i z podatków ludzi owacjami dziękujących za "lewacki wrzask", mają być przeznaczone wyłącznie na tę "konserwatywną" przyjemność? Skąd ta pycha i pewność siebie, która nieustannie bije z tekstu Zaremby i jemu podobnych?

Tak, tak - już słyszę te kontrargumenty: pański gust, panie Kosiński, był przez lata zaspokajany, a teraz chodzi o to, żeby wreszcie doprowadzić do równowagi i zaspokoić też nasz. I to jest punkty istotnie ważny i bolesny. Obawiam się niestety, że przekonanie, iż teatr "tradycyjny" nie ma w Polsce wysokiej pozycji, ponieważ był sekowany przez poprzednią władzę, jest tylko samopocieszającą iluzją. Zejdźmy na ziemię. Gdy ktoś nie znający realiów posłuchał opowieści "tradycjonalistów", mógłby sobie wyobrazić, że większość teatrów w Polsce pozostaje w rękach dyrektorów w typie Klaty, że wszędzie aktorzy grają przepisywane i powykrzywane teksty, że panuje kult zgnilizny moralnej i polakożerstwa, a biedny Piotr Zaremba i widzowie podzielający jego gust nie mają gdzie się wieczorem udać, więc w domu, w konspiracji czytają wspomnienia Fronczewskiego i oglądają dawne produkcje Teatru Telewizji. Wyzłośliwiam się i hiperbolizuję może niepotrzebnie, ale irytuje mnie, że te zaledwie kilka scen realizujących konsekwentnie odmienny od tradycyjnego program artystyczny, tak mocno utkwiło w oczach konserwatystów, że nie widzą ogromnej większości teatrów zupełnie tradycyjnych lub "eklektycznych" (czyli najczęściej po prostu letnich lub słabych), starających się zaspokoić różne gusta i wystawiających teksty dramatyczne dokładnie w taki sposób, o jakim śni Zaremba. W samym tylko Krakowie, jeśli się nie respektuje linii Jana Klaty, można iść do Bagateli, Teatru im. Słowackiego lub jechać do Ludowego, nie wspominając już o mniejszych scenach. W Warszawie osobnik niegustujący w teatrze tradycyjnym bardzo rzadko może znaleźć coś dla siebie, bo nawet Powszechny wcale nie jest zawsze radykalnie "postdramatyczny", nie wspominając już o arcydramatycznym obecnie TR. Problemem polskiego teatru dramatycznego wcale nie jest to, że Kłata, Kleczewska, Strzępka czy Szczawińska realizują własne projekty artystyczne nie oglądając się na oczekiwania tradycjonalistów, ale to, że teatr dramatyczny jest tak często artystycznie przeciętny, nudny i anachroniczny.

Oczywiście wiem, że tak naprawdę w całym Zarembistym ataku chodzi o to, że Klata kieruje Narodowym i ośmiela się mieć inne rozumienie tego przymiotnika niż walcząca o monopol w tej kwestii polska prawica. Ale jeśli tak, to rozmawiajmy o tym, a nie o rzekomej nieobecności teatru literackiego, tradycyjnego, dramatycznego i jakiego tam jeszcze. Taki teatr w Polsce jest, tylko jakoś nawet zwolennicy tej odmiany sztuki dramatycznej, nie wyrażają się o nim z entuzjazmem. Jest i jest go całkiem sporo, tylko nawet recenzenci jawnie i zdecydowanie prawicowi, go nie chwalą i nie polecają, łaskawie pomijając milczeniem. Jest, tylko kompletnie zagubił swoje tradycje, a jego wybitni aktorzy sprzedają twarze w haniebnie głupich reklamach i serialach, nie mając czasu i sił na poważną pracę, jakiej wymaga. Jest, tylko jego reżyserzy zdają się sami nie wierzyć w jego siłę. W przeciwieństwie do Zaremby nie mam zamiaru wymieniać nazw i nazwisk, bo nie o donosy do władz mi idzie, ale o to, żebyśmy wreszcie zaczęli rozmawiać o rzeczywistości, a nie o podminowanych kompleksami fantazjach. Jeśli teatr dramatyczny jest w Polsce słaby i nieciekawym, jeśli nie mamy ani jednej sceny, która pracowałaby WYŁĄCZNIE na rzecz tradycji i na przykład zajęła się odnowieniem stylu fredrowskiego, którego nie zniszczyli żadni lewacy, ale swoim lenistwem ci sami, którzy opowiadają dyrdymały o "złotym humorze Hrabiego", to zacznijmy się zastanawiać nie nad tym, kogo ze stanowiska dyrektora wyrzucić, ale jak te poliberalne ruiny odbudować. I nie mydlmy sobie i innym oczu, że uciszenie rzekomego lewackiego wrzasku to droga do tego celu. "Wrzask" oczywiście uciszyć można, ale obawiam się, że potem będzie już tylko słychać szelest papieru i spokojne chrapanie zadowolonego z siebie Piotra Zaremby.